

Florek-Stefaniak Elżbieta

Zlecenie

Z „*Science Fiction*” nr 15 – czerwiec 2002

Sineira wydobyła ostatni sztylet z szybko stygnącego ciała. W świetle księżycy krew rozlana na śniegu wydawała się czarna. Oczyściła ostrza i z powrotem umieściła je w pochewkach wszytych w rozmaite miejsca mocnej skórzanej kurtki. Dopiero teraz pozwoliła sobie na długie westchnienie ulgi.

Tym razem jej reputacja była mocno zagrożona - ścigani wymykali się i wodzili ją za nos przeszło miesiąc. Jednak, pocieszała się, nawet najlepszy zabójca może mieć problemy, gdy ofiary posiadają tak szczególne umiejętności jak ci dwaj: pośledni mag i jego uczeń. Co prawda mogło być gorzej - mogli parać się magią wojenną albo wręcz nekromancją. Niemniej to właśnie umiejętność czytania w cudzych umysłach okazała się bardziej niebezpieczna dla czarowników niż dla ich przeciwniczki, chociaż pozwoliła im kilkakrotnie uniknąć pułapek zastawianych przez zabójczynię. Z trudem przyswojony „stan niemyślenia”, z powodu którego nieraz kłóciła się ze swym nauczycielem, okazał się w tej misji nad wyraz pożyteczny. Tylko dzięki niemu szpiedzy nie zdążyli sprzedać czy rozgłosić informacji, którą posiadli, a szybsze od myśli sztylety Sineiry uwolniły pewnego możnego pana od strachu... oraz sporej ilości gotówki.

Elfka zerwała z zimnych karków srebrne medaliony, symbole magów, ciała pozostawiając wilkom. Teraz mogła zgłosić się po resztę zapłaty i rozejrzeć za ciepłym przytuliskiem na zimę. Dziarskim krokiem ruszyła na południe. Nęciły ją wielkie miasta, Saribon i Styrra, gdzie łatwo było zarobić parę sztuk złota i zgubić się w anonimowym tłumie. Jedno i drugie stawało się dla niej coraz bardziej palącym problemem. Zapłata za ostatnie zadanie, choć spora, nie mogła wystarczyć na przeżycie całej zimy w mieście... Przynajmniej nie w takich warunkach, w jakich Sineira chciałaby ją przeżyć. Zaś zniknięcie w ludnym mieście pozwoliłoby uwolnić się od ciągnących jej tropem ponurych kapłanów mrocznego bóstwa, którego świątynię okradła w zeszłym roku.

Wspomnienie prześladowców wywołało wyjątkowo paskudny grymas na jej skądinąd urodziwej twarzy. Z irytacją kopnęła śnieżną zaspę. Trzy ponure typy pojawiły się jak spod ziemi jakieś pół roku temu, żądając zwrotu zagrabionych kosztowności w zamian za pozostawienie jej przy życiu. Wyśmiała ich wtedy, zresztą wszystko, co ze świątyni wyniosła, zdążyła już sprzedać, a uzyskane w ten sposób złoto zostało spożytkowane na leczenie gigantycznej chandry - czyli, krótko mówiąc, zostało przepite. Do ostatniej monety. Powodów przygnębienia nie potrafiła już sobie przypomnieć, za to kac pozostawił po sobie wspomnienia tak wyraziste, że od tamtego czasu nie tknęła alkoholu. Niewątpliwie wyniknęła z tego jedna korzyść - trzeźwa jak niemowlę Sineira znów potrafiła utrzymać w ręku sztylet, porzuciła więc drobne kradzieże i wróciła do dawnego zawodu. Jak się okazało, w samą porę. Wyśmiani ponuracy pojawili się ponownie tydzień później. Gdyby tamtego dnia wypita chociaż kropelkę, gdyby każdej chwili nie poświęcała na odzyskiwanie dawnej formy, leżałaby już pięć stóp pod ziemią w niezbyt sympatycznym towarzystwie głodnych robaków.

Jednak świeżo odzyskane umiejętności okazały się niczym wobec koszmaru, jaki napotkała. Cały arsenał piruetów, kopnięć, morderczych cięć mieczem i zdradzieckich rzutów sztyletem nie wystarczył, by choćby zadrasnąć któregokolwiek z trójki napastników. W absolutnej ciszy unikali żelaza, pozwalając jej tańczyć między nimi, aż wyczerpana, bez tchu, nie była w stanie unieść miecza. Dopiero wówczas dobyli broni - i odsłoniли twarze, dotychczas ukryte w cieniu kapturew.

Wtedy po raz pierwszy w życiu uciekła z pola walki, skowycząc ze strachu jak zbity pies.

Sineira zawsze doceniała znaczenie wiedzy, szczególnie zaś wiedzy na temat przeciwnika. Wielokrotnie usiłowała sobie przypomnieć, jakiemu bogu poświęcona była świątynia. Niestety, większość wspomnień okrywała mgła. Piła wtedy - który dzień z rzędu? Przeklęta niech będzie gorzalka! Elfka pamiętała tylko mrok, dym i krew na ołtarzu.

Wypytywała uczonych i kapłanów, których udało się jej spotkać, nikt jednak nie słyszał o płomiennookich mnichach-wojownikach, których twarze skomplikowany tatuaż zmieniał w koszarne maski śmierci, posługujących się zarówno magią, jak i glewiami z kości łączącej z czarnym żelazem.

Spotykała prześladowców jeszcze kilkakrotnie, unikając bezpośredniego starcia. Próbowwała ich podejść, jednak okazali się czujni, i zabójczyni z myśliwego stawała się zwierzyną. Igrali z nią, sycąc się jej strachem. Zmęczyło ją to. Przysięgała sobie teraz, że kiedy tylko dotrze do miasta, natychmiast odnajdzie najlepszego krasnoludzkiego zbrojmistrza i nie zważając na cenę, zamówi najlepszą kuszę, zaopatrzoną, tak na wszelki wypadek, w bełty ze srebrnymi grotami. Potem wytropi tych trzech i zakończy całą sprawę.

Gnała przed siebie jak na skrzydłach wichru, rozgrzewana ciepłem pełnokrwistego rumaka, upojona pędem, niepomna zagrożeń, czyhających pośród bezksiężycowej nocy. Niewielka, poręczna kusza, przytroczona do siodła, dawała przyjemne poczucie bezpieczeństwa. Miarowy tętent wypełniał uszy, każde uderzenie kopyt oddalało ją od ponurych krain Północy. Złoto, ukryte pod ubraniem w szerokim pasie z miękkiej skóry, mogło zapewnić wygodne przeżycie nie tylko zimy, ale i wiosny. Na wypadek spotkania z rozbójnikami zawiesiła przy pasie sakiewkę z drobnymi monetami, a obok niej lekko zakrzywiony miecz z gatunku tych, które wyrabia się na najdalszym Wschodzie, ostry jak brzytwa. Na miejscu zbójów każdy rozsądny człowiek wybrałby sakiewkę...

Powiodło się jej lepiej, niż przypuszczała. Bogaty zleceniodawca był tak zadowolony, że dorzucił nieco złota ponad umówioną sumę. Dzięki temu mogła sobie pozwolić na rzadkie cacko - mocowaną do przedramienia kuszę, którą bez wysiłku można było napiąć jedną ręką. W kołczanie przytroczonym do uda mieściło się dziesięć bełtów zaopatrzonych w srebrne groty. Wszystko to razem pochłonęło niewiele ponad ćwierć jej majątku. Na dodatek na zabójczynię czekało kolejne zadanie, dla wypełnienia którego miała jechać do Styrry, gdzie przecież i tak się wybierała. Koń, bez śladów zmęczenia to galopujący, to kłusujący już od kilku godzin, był częścią zaliczki. Teraz „kaptury” nie miały szans na zaskoczenie jej w drodze, a w mieście mogła się ukryć, mogła szukać ochrony gildii, ba, mając tyle złota mogła się pokusić o wynajęcie uzbrojonego ochroniarza lub maga. Najpierw jednak powinna skupić się na usunięciu z tego padołu - usunięciu szybko, cicho i skutecznie - niejakiego Skriabina, mąciwody, którego buntownicze poglądy żadną miarą nie zgadzały się z poglądami bardziej majątnych obywateli Imperium, a którego wpływ na prostaczków coraz bardziej niepokoił szlachtę oraz (podobno) samego Imperatora.

Elfka nigdy by nie przypuszczała, że kiedyś przyjdzie jej dokonać „czynu patriotycznego”, jednak dopóki dobrze zań płacono... Śmierć miała wyglądać na przypadkową, w dodatku „niegodną” - ot, coś w rodzaju utonięcia w gnojówce lub ataku serca w lupanarze. Bogacze nie życzyli sobie kolejnego chłopskiego męczennika. Sineira wiedziała, dlaczego: powstanie oznaczać mogło jedynie kłopoty: zastój w handlu, brak rąk do pracy, przeszkody w interesach, czyli -ogólny bałagan. Na chłopskiej wojnie nie można zarobić handlując bronią czy prowiantami. Poza tym, wyrzynając tłuszczę nie sposób okryć się bitewną chwałą.

Tak rozmyślając, podążała na południe, zatrzymując się na noclegi w przydrożnych zajazdach, bardziej ze względu na konia niż dla własnej wygody. Rozbójników nigdzie nie napotkała. Być może, wzorem niedźwiedzi, przesyпали mrozy w głębokich komyszach.

Styrra powitała ją gwarem ludzkich głosów, zapachami jadła, dźwiękami muzyki. Na ulicach i placach kłębił się wielobarwny tłum. Kupcy głośno zachwalali towary, muzykanci wygrywali skoczne melodie na każdym placu. No tak, zapomniała zupełnie o trwającym w najlepsze karnawale! Co chwila ulicami przebiegały wesołe korowody, zamaskowani tancerze wciągali przechodniów do zabawy. Do miasta zjechali ludzie z całej okolicy. Z jednej strony ucieszyło to elfkę, bo niepodobna, by „kaptury” znalazły ją w tym zamieszaniu, z drugiej - zaniepokoiło, bo oznaczało trudności z odszukaniem człowieka, którego miała zabić.

Wkrótce okazało się, że niepotrzebnie się martwiła. Na ulicach głośno było o „proroku”, który nauczał na jednym z placów. Elfka postanowiła czym prędzej znaleźć miejsce w zajeździe, zostawić tam konia i wybrać się na przechadzkę, by sobie owego „nauczyciela” obejrzeć.

W kącie stajni, kryjąc się przed ludzkim wzrokiem, upięła starannie włosy tak, by wyglądały na krótkie, sięgające ledwie do pół ucha. Z sakwy wyjęła lusterko, słoiczek z farbą i cienki pędzelek. Za jego pomocą pokryła skórę wokół oczy gmatwaniną linią udających elficki tatuaż. Co prawda dla przeciętnego człowieka jedna elfka niewiele się różni od drugiej, jednak Sineira wolała zachować ostrożność - sukces zabójcy polega przecież na tym, że pozostaje nierozpoznany.

Owinięta w obszerny płaszcz z kapturem, zagłębiła się w wielobarwny tłum. Dotarcie na właściwy plac zajęło jej większą część dnia. Po drodze kilkakrotnie została wciągnięta do tańczącego korowodu, zastępowali jej drogę krążący przekupnie, zachwalając to eliksiry miłosne, to barwne wstążki do włosów, to znów niezawodne talizmany przynoszące szczęście. Ulice zablokowane były przez trupy teatralne, kramy z jedzeniem, religijne procesje, bogate powozy, żebraków - tysiąc ludzi połączonych jednym: karnawalem.

Wreszcie udało jej się wydostać z wiru zabawy. Znalazła się w dzielnicy, którą niegdyś zamieszkiwali bogacze, dopóki nie opuścili swych domów w ucieczce przed odorem rozszerzającego się z roku na rok bagna, pochłaniającego stopniowo zachodnią część Styry. Teraz pałace popadały w ruinę, będąc schronieniem dla biedoty i zwierząt - bezdomnych psów, kotów i licznych zastępów szczurów o lśniącym futrze.

Tutaj właśnie Skriabin odgrywał rolę proroka. Ujrzała go wreszcie - siedział w odrapanym fotelu, otoczony tłumem zasłuchanych obdartusów. Przemawiał cichym lecz silnym głosem. Sineira poczęła się przepychać przez zwarty mur niedomytych ludzkich ciał i wkrótce znalazła się o kilka kroków od niego.

Był to człowiek chudy, o bladej, ascetycznej twarzy. Pochylał się nad stołem kartek, na których pajęczym pismem notował swoje tezy. Co jakiś czas przerywał pisanie i przemawiał do ludzi, a mówił językiem prostym, zrozumiałym dla każdego. Jego słowa zionęły nienawiścią do tych, których los postawił wyżej w hierarchii. Mówił o prześladowaniach, o okradaniu chłopów z owoców ich pracy, o podatkach, o tłustych kapłanach, pobierających opłaty za pogrzeby i ceremonie zaślubin. Twierdził, jakoby wojna z Chaosem była wymysłem możnych, pretekstem do odbierania poddanym ich majątku! Zręcznie mieszał półprawdy z wymysłami, powodując zamęt w umysłach prostych słuchaczy.

Teraz Sineira rozumiała, dlaczego polecono jej usunąć tego człowieka. Zaiste, był niebezpieczny. Był też obłąkany niczym marcowy troll. Tylko szalenciec mógł twierdzić, że Chaos nie istnieje! Elfka zbyt dobrze pamiętała wykrzywione pyski zwierzoludzi, twory i niewolników owego „wymysłu możnych”, kiedy mordowali jej braci. Gniew zapalił się w niej na krótką chwilę - i zgasł, gdy dłoń dotknęła zimnej rękojeści sztyletu. Jeszcze nie teraz, pomyślała, jeszcze nie... Wróć tu wieczorem...

Już chciała odejść, kiedy - pchnięta znienacka w plecy przez jakiegoś pijaka - znalazła się tuż przed „prorokiem”.

Skriabin podniósł głowę znad papierów. Jego oczy błyszczały szaleństwem.

- Witaj, córko najpiękniejszego plemienia! A więc i leśny lud dość już ma prześladowań, jakim winni są wielmoże! Rozumiem, żeś ambasadorem swego ludu i że w jego imieniu chcesz rozmawiać o przyłączeniu się do mej świętej wojny z bogaczami!

Sineira przez chwilę zapomniała języka w gębie. Ten człowiek był rzeczywiście niespełna rozumu, jeśli myślał, że elfy zechcą się bratać z cuchnącym chłopstwem, z tymi, którzy wycinają stuletnie drzewa, aby na ich miejscu sadzić kapustę! Jednak natychmiast zrozumiała, że oto pojawiła się niepowtarzalna okazja, by znaleźć się wśród najbliższego otoczenia „proroka”.

Odpowiedziała, ostrożnie dobierając słów:

- Zanim cokolwiek zadeklaruję, muszę bliżej poznać twoją naukę, proroku.

W ten sposób niczego nie obiecywała, ba, nawet nie twierdziła, że jest tym, za kogo ją biorą. Jednak Skriabinowi to wystarczyło. Jego wiara w boskie posłannictwo wypaczała obraz świata. Każde wydarzenie, każde słowo rozumiał po swojemu. Powitał więc elfkę głośno i wylewnie jako wysłanniczkę, mającą mu oferować sojusz przeciwko każdemu, kogo „prorok” uzna za wroga. Zaraz też z wielkim zapałem zaczął wyłuszczać jej swoje idee. Nie słuchała go. Czuła dziwny niepokój, jakby zbliżało się niebezpieczeństwo. Obserwowała plac spod przymrużonych powiek. Ktoś przedzierał się przez tłum. Wreszcie zobaczyła trzy czarne kaptury, niczym płetwy rekinów przesuwające się nad morzem ludzkich głów. Zmartwiła z przerażenia...

- Teraz zapłacisz krwią za zagrabione skarby! Zapłacisz głową za zbezczeszczenie świątyni!

Tłum zafalował i rozstał się przed potworną trójką. Skriabin zerwał się z miejsca, wydając okrzyk przerażenia złapał elfkę za łokieć. Nie mając dokąd uciekać, dobiła broni i zrzuciła z ramion kłępujący ruchy płaszcz. Rozejrzała się w popłochu. Tam! Otwarte drzwi na wpół zrujnowanego pałacu! Tam nie będą mogli jej otoczyć! Cofała się krok za krokiem, a za jej plecami cofał się „prorok”, święcie przekonany, że to atak na jego dostojną osobę. Tłum zachęcał elfkę głośnymi okrzykami, by broniła „zbawiciela”, w stronę zakapturzonych mnichów leciały wyrwane z bruku kamienie - jednak nikt nie kwapił się podejść bliżej i zmierzyć się z nimi. Zbyt ni wzbudzali lęk w zabobonnych sercach tłuszczy.

Skriabin wskoczył do wnętrza pałacu niczym królik czmychający przed psami. Nie oglądając się popędził na piętro po na wpół zrujnowanych schodach. Elfka zatrzymała się na pierwszym stopniu. Odłożyła miecz na schody, tak aby mieć go w zasięgu ręki. Z kołczana na udzie wyciągnęła pocisk, napięła kuszę. Modląc się bezgłośnie czekała z uniesionym ramieniem, gotowa do strzału.

Pierwszy mnich zginął natychmiast, nie wiedząc nawet, co go zabiło. Sineira przygotowała kolejny bełt. Ręce drżały jej z pośpiechu. Dwaj pozostali przeciwnicy wpadli jak burza do obszernej sieni. Tylko nieludzka zręczność uratowała elfkę przed niechybną śmiercią. Ostrza giewii o włos minęły ciało,

zamieniając solidną skórzaną kurtkę w strzępy. Zdażyła wystrzelić jeszcze raz, jednak trafiony w brzuch przeciwnik nie padł na ziemię z okrzykiem bólu, jak się spodziewała. Z bełtem groteskowo sterczącym poniżej mostka zbliżał się do schodów. Grewia zawirowała obłąkańczo i elfka poczuła najpierw uderzenie w zębra, potem falę wilgoci spływającą z policzka na szyję. W panice szarpnęła za kołczan, nagle śliski od krwi, pociski rozsypały się po podłodze, grzechocząc szyderczo. Nie miała czasu na ich zbieranie. Chwyciła miecz, w samą porę, by zablokować kolejne uderzenie szerokiego ostrza. Drugi mnich podniósł ramię do ciosu. Elfka zrozumiała, że tym razem nie zdaży się zasłonić.

Uratował ją Skriabin. Stojąc u szczytu schodów ciskał w napastników szczątkami mebli i kawałkami gruzu. Celnie rzucona cegła wytrąciła mnichowi broń z ręki. Sineira skoczyła na stopnie, masywna balustrada zabezpieczała jej boki. Teraz wrogowie nie mogli zaatakować jednocześnie z dwóch stron. Biegając w górę zyskała ułamki sekund, zdażyła jeszcze wyciągnąć z rękawa sztylet. Rzuciła lewą ręką. Z tej odległości nie mogła chybić. Ostrze zagłębiło się w gardle po rękojeść, przeciwnik stoczył się ze schodów z odrażającym charkotem.

Nie dane jej było rozkoszować się triumfem. Ostatni z prześladowców nie próżnował. Bez słowa zasypał ją gradem ciosów, zmuszając do cofania się krok za krokiem, stopień za stopniem. „Prorok” umknął, pozostawiając ją sam na sam z wcieloną śmiercią.

Mnich zbyt sprawnie posługiwał się bronią, by pozostawić dziewczynie choćby cień nadziei na ocalenie. Nie była przecież szermierzem, była skrytobójczynią, cieniem, skradającym się po dachach jak kot... W tej chwili miotającym się raczej jak bezradne kocię, w dodatku pozbawione pazurów - bo jej miecz, ten cudownie piękny, ostry jak brzytwa półksiężyc, złamał się w połowie!

Pozostała jej jedna możliwość, jedna szansa. Wykorzystując odrobinę przestrzeni na podeście, rzuciła ułomkiem miecza w twarz mnicha, chwyciła balustradę, odbiła się z całej siły i skoczyła, robiąc salto ponad czarnym kapturem. Zdezorientowany przeciwnik nie zdażył, dzięki bogom, rozplatać jej w locie na pół. Wylądowała na równych nogach u stóp schodów, w mgnieniu oka podniosła jeden z rozspanych bełtów, naciągnęła kuszę i strzeliła, prawie nie mierzając. Krzyk, podobny do skwiru drapieżnego ptaka, zabrzmiał w jej uszach jak najpiękniejsza muzyka. Wyrwała glewież z rąk trupa i wsparła się na niej jak na lasce, czując, jak uginają się pod nią nogi.

Z piętra dostojnym krokiem schodził Skriabin.

- Zaprawdę powiadam, za to, żeś mnie uratowała, lud będzie cię czcił! Zasiądziesz po mojej prawicy, kiedy już zmieciemy z powierzchni ziemi bogaczy i kiedy JA zapanuję!

- Nie sądzę - powiedziała Sineira, wbijając glewież w jego pierś z taką siłą, że ostrze wyszło plecami.

Starannie wytarła ręce, skalane dotykiem broni Chaosu, po czym, słysząc zbliżające się głosy, porwała ze schodów ułomek miecza, padła na zalaną posoką podłogę i przetoczyła na siebie zwłoki jednego z mnichów, nadziejąc je na złamane ostrze. W ostatniej chwili! Zniecierpliwieni oczekiwaniem, zaniepokojeni o los przywódcy, do komnaty już wpadali pierwsi „wierni”. Jak wryci stanęli w progu, przerażeni tym, co ujrzeli.

- Pomóżcie mi... - jęknęła bohaterska obrończyni „proroka”, przygnieciona widąc podczas walki przez wyjątkowo zażartego przeciwnika.

Gdy pomagali jej wstać, ze łzami w oczach wyszeptowała: „Nie dałam rady”, upuściła na ziemię złamany miecz i zakryła twarz rękami. Wzruszeni myśleli, że to śmierć „zbawiciela” napełniła ją rozpaczą. Tak naprawdę Sineira z trudem powstrzymywała śmiech. Jak łatwo dali się oszukać! Już wyjmowali z ciała złamane ostrze, już owijali je w płótno niczym relikwie! Na rękach wynieśli ją na zewnątrz. Zalana krwią, zrobiła odpowiednie wrażenie...

Postanowiła czym prędzej opuścić scenę - nie interesował jej dalszy udział w farsie, lecz raczej czekająca na nią gotówka. Na razie musiała odpowiadać na pytania ludzi, których przywódca leżał martwy. Aby w pełni zadowolić tłum, wystarczyło jej tylko kilkakrotnie powtórzyć drżącym głosem: „Nie rozumiem, o jakich zagrabionych skarbach mówili? Wszak on nie mógł być złodziejem!” Wiedziała, że te słowa wzbudzą domysły, że doprowadzą ludzi do daleko idących wniosków. Martwy Skriabin nie poprowadzi ich do walki, więc wkrótce poczują się zawiedzeni i rozczarowani, a ich rozczarowanie skupi się na „proroku”. Jego ciało nie zdaży jeszcze dobrze ostygnąć, a już oskarżać go będą o każde zło, jakie przyjdzie im na myśl. Już skupiali się w małe grupki, już dyskutowali zawzięcie. Na elfkę przestali zwracać uwagę.

Wymknęła się z rynku i czym prędzej opuściła dzielnicę biedoty, po drodze myjąc twarz i ręce w rozsypującej się fontannie. Potem odebrała z zajazdu konia i ruszyła w drogę, aby odebrać ciężko zarobione złoto.



Już w połowie drogi dotarły do niej pierwsze pogłoski o tym, jak słudzy Chaosu zamordowali swego wspólnika, samozwańczego proroka, co to okradał świątynie i pewnie inne jeszcze rzeczy miał na sumieniu.

„Dobrze poinformowani” twierdzili, że rozplątano go niczym świnie, co - jak mówili - słusznie mu się należało.

* * *

Minęło pół roku.

Lato miało się ku końcowi. Sineira była już zmęczona. Znużona gwarem miasta uciekała na pustynię, gdzie całymi dniami nie widywała żywej duszy. Podróżowała od oazy do oazy, wyczerpana upałem, który tu, na Południu, sprawiał, że odechciewało się żyć. Zatręsknęła nagle za śniegami Północy, za zapachem sosen w czystym, mroźnym powietrzu.

Do miasta było daleko. Rozpalony piasek zdawał się falować, jakby cała pustynia płonęła. Gdzieniedzie tylko potężne kaktusy cieszyły oko zielenią. Dla wprawnego podróżnika były to znaki. Kto potrafił je odczytać, nie umierał z pragnienia.

Sineira umiała czytać. Nie tylko pismo. Trudy życia nauczyły ją rozpoznawać znaki, zarówno w lesie jak i w mieście, na stepie i na pustyni. Wyjątkowo duża plama zieleni, o ile nie była złudzeniem, oznaczała obecność wody. Elfka wbiła pięty w boki wierzchowca. Nie potrzebował tego, sam wyczuł już wilgoć i niecierpliwie wyciągał szyję. Przy małej, płytkiej sadzawce, ślady końskich kopyt mieszały się z odciskami butów i bosych stóp. Na brzegu leżał porzucony bukłak. Jeszcze ciepłe popioły po ogniskach mówiły elfce, że obozowano tu tej nocy. Ślady wiodły z południa ku północy. Ona nadjechała ze wschodu, od strony Styrry, nie napotykając nikogo. Teraz, chcąc podróżować na północ, będzie musiała nadłożyć drogi. Nigdy nie wiadomo, kto podąży szlakiem karawan. Prorok samozwaniec mógł mieć przecież przyjaciół, nieco wierniejszych niż styrreńska ciżba. Także zabici mnisi nie musieli być jedynymi, którzy ją ścigali. Lepiej było nieco zboczyć z trasy, niż głupio prosić się o nieszczęście.

Przyjrzała się uważniej śladom. Podkute kopyta i ciężkie buty oznaczały wojsko. Intrygowały ją bosa stopy. Może żołnierz prowadził jeńca? Nie obchodziły jej porachunki między ludźmi. Napoiła konia, obmyła z kurzu twarz i położyła się w lichym cieniu kaktusów. Niech tamci odjadą jak najdalej. Jej się nie spieszy.

Obudził ją tętent kopyt i rzenie koni. Zerwała się, przeklinając własną głupotę. Mogła się domyślić, że nikt przy zdrowych zmysłach nie porzuca bukłaka na pustyni! Jego właściciel najwyraźniej wracał odzyskać zgubę. Co gorsza, miał towarzysza. Z oddali usłyszała zbliżające się głosy. Dwa głosy. A to przekłete bydło, jej koń, oddaliło się na tyle, że nie zdążyłaby wydobyć z juków ani kuszy, ani owiniętego w naoliwione płótno miecza, ani - tym bardziej - sztyletów ukrytych w zakamarkach skórzanej kurtki.

Ukrywanie się w kępie kaktusów było tyleż bezsensowne, co niemożliwe. Długie kolce przebiłyby jej ciało na wylot. Stanęła więc po przeciwnej stronie sadzawki. Nie czekała długo. Dwaj żołnierze na jej widok stanęli jak wryci.

- Spójrz!

- No, no, niezła cizia. Całkiem sama na pustyni?

- A może to jakaś wiedźma?

- Ustrzel ją z łuku.

- A jeśli to nie wiedźma?

- Cóż, będzie to znaczyło, że miała pecha.

Rozdzielili się. Zachodzili ją z dwóch stron, cały czas wymieniając „wesole” uwagi. Obaj byli wysocy, niezłe zbudowani, choć raczej szczupli. Odziani w lekkie kolczugi, głowy mieli skryte pod spiczastymi hełmami, obwiązany białym płótnem dla ochrony przed słońcem. Przy bokach kołysały się zakrzywione szable.

- Wolałbym przebić ją czym innym, niż strzałą!

- He, he, niegłupi jesteś. Od dawna nie miałem kobiety.

- Bogowie są nam łaskawi.

- Bardzo łaskawi. Taki kasek!

Jedno spojrzenie w ich wygłodniałe oczy wystarczyło, by wiedziała, że mówili poważnie. Oskoczyła, sycząc przez zęby:

- Wara, psie syny. Pierwszemu, który mnie dotknie, gardło poderżnę.

Wojacy tylko zaśmiali się okrutnie. I nim się spostrzegła, rzucili się na nią. Jeden do nóg, drugi do szyi. W mgnieniu oka leżała na ziemi. Jednak nie pierwszy raz ktoś próbował ją zgwałcić. Wściekła, wierzgała nogami i gryzła co popadnie. Przydusili ją mocniej. Poczuli, że traci dech, udała, że za chwilę ulegnie i

straci przytomność. Dali się oszukać. Poluźnili nieco chwyt. Wtedy wgrzyła się w to, czego mogła sięgnąć zębami. Wpiła się jak tylko mogła najgłębiej i szarpnęła. Przeciągły wrzask i strużki lepkiej cieczy! Napór zelżał. Wykorzystała to i odwinęła się na plecy. Jej stopa znalazła się pomiędzy nogami jednego ze zbirów. Gwałtownie podniosła ją do góry i nagły skowyt nagrodził bezbłędne trafienie. Zerwała się na równe nogi.

Leżącemu wyrwała sztylet. Uderzyła z całej siły, trafiła prosto w oko, przebijając się do mózgu, siłą rozpędu miażdżąc czaszkę. Wyrwała ostrze i rzuciła się na dobywającego szabli drugiego zbira, którego jej zęby praktycznie pozbawiły policzka. Niezdarnie zamachnął się bronią. Zanurkowała pod klingą, wykonała piruet i odkręcając się, jakby od niechcenia musnęła gardło. Fontanna krwi obryzgała wszystko wokół. Niedoszły gwałcieł z charkotem złapał za ranę, starając się dłońmi zamknąć szczelinę, przez którą wysączało się życie.

Elfka opadła na kolana. Łapała oddech. Jeśli ktoś przyjedzie szukać tych dwóch... Kto by uwierzył, że się tylko broniła! Pośpiesznie zebrała dobytek. Zauważyła, że jej koń spokojnie stoi nieopodal. Wydobyła ukrytą w jukach broń. Dumając nad słuszością przysłowia „Mądry elf po szkodzie”, przymocowała kuszę do przedramienia i wsunęła kilka sztyletów w cholewy wysokich butów. Dopiero wówczas spostrzegła, że jej koszula jest cała porozdzierana. Nie nadawała się do niczego, a kosztowała przecież niemały grosz. Zrzuciła strzępy i zdała przyodziewek z jednego ze zbirów. Po namyśle nałożyła kolczugę. Wzięła też hełm. Zawahała się. Należałoby go najpierw oczyścić...

Z oddali dobiegł ją tętent kopyt. Nie myśląc już o przywartych do ścianek resztkach, szybko wcisnęła na głowę żelastwo i obróciła się na pięcie. Przed sobą zobaczyła chmurę kurzu. Jacyś jeźdźcy zbliżali się ku niej. Uciekać nie miała dokąd. Czekąca.

Wreszcie zbliżyli się na tyle, że mogła ich rozpoznać.

Trzy sylwetki w czarnych kapturach.

Poczuła, jak ogarniają fala rezygnacji. Spokojnie czekała na spotkanie. Zatrzymali się kilkanaście kroków przed nią. Nagle, bez słowa, jeden z trzech jeźdźców zamachnął się giewią i uderzył ją w głowę. Spadła z konia.

Zakapturzony mnich podjechał do leżącej kobiety. Z pękniętego hełmu wypłynęły fragmenty mózgu zmieszanego z krwią.

- Dlaczego to zrobiłeś? Powinna umrzeć na ołtarzu!

- Sześciu musi służyć Panu. Zabiła trzech naszych braci. Jak moglibyśmy odprawić ofiarę?

- A więc zostawmy to ścierwo sępom - rzekł i splunął na zwłoki.

Trzej mnisi-wojownicy, słudzy mrocznego boga, ruszyli dalej, nie oglądając się więcej na postać leżącą na piasku.

Postać poruszyła się. Podniosła na kolana. Uniosła rękę. Raz, drugi, trzeci. Trzy srebrzyste pociski przecięły rozgrzane słońcem powietrze. Trzy sztylety trafiły w cel. Trzy ciała runęły na piasek. Trzy konie zatrzymały się, zdezorientowane.

Sineira, wypływając piasek, ściągnęła z głowy nie nadający się do użytku hełm. Z obrzydzeniem zajrzała do środka.

- Jednak rację mają ci, którzy powiadają: „co dwa mózgi to nie jeden” - powiedziała na głos.

Zabrała konie zabitych i ruszyła swoją drogą.

Elżbieta Florek-Stefaniak